

Jerzy Beski

MOJE PODOLE

1930–1945



OPOLE
Wydawnictwo NOWIK Sp.j.
2010

Słowo wstępne

Nostalgia przywołująca obraz domu rodzinnego z lat dzieciństwa dotyka wszystkich, zwłaszcza gdy przekracza się Conradowską smugę cienia; gdy się już wie – jak mówi poeta – „że bliżej jest niż dalej”. Jedni doznają tej nieco smutnej błogości wcześniej, inni później. Są tacy, którzy muszą to komuś opowiedzieć, są także inni, których wewnętrzny imperatyw skłania, aby to zapisać.

Ten ostatni objaw wystąpił dość niespodziewanie u Jerzego Beskiego, który, sam tym zaskoczony, nagle odłożył pędzel malarza i wziął do ręki pióro, aby opisać swoje lata chłopięce przeżyte na Podolu, w legendarnej Trembowli i jej okolicach.

Podole, utracone przez Rzeczypospolitą w 1945 roku, to ziemia żyznych pól i licznych rodzących się tam ludzkich talentów, ale też dzielnica, w której zróżnicowana narodowościowo ludność doznawała przez wieki od Turków, Tatarów, Wołochów, Kozaków, Rosjan i Niemców niebywałych okrucieństw. Pokolenie, do którego należy Jerzy Beski, doświadczyło tych wszystkich niegodziwości w wyjątkowym stężeniu. W krótkim czasie swoich chłopięcych lat przeżył tam dwie okupacje i widział bezkarnych morderców w mundurach, którzy – raz mówiąc po rosyjsku, raz po niemiecku, to znowu po ukraińsku – dokonywali morderstw i rabunków, głosząc przy tym ideologię nienawiści. Beski miał szczęście, że przeżył ten okrutny czas i może go dziś opisać – dać świadectwo prawdzie.

Trembowła, jego miasto rodzinne, leży nad rzeką Gniezną, u jej ujścia do Seretu. Otoczona była potężnymi lasami dębowymi i bukowymi. Nazwa jej pochodziła od masowego wyrębu drzew w tych okolicach na cele budowlane, bo ‘terebyty’ to ukraińskie ‘trzebić’, ‘wycinać’. Poeci zwracali jeszcze uwagę, że miasto otaczał zadziwiający zapach leśnych ziół, a w Serecie żyły niezwykle okazałe szczupaki, będące przysmakiem wigilijnych stołów.

Swoje pięć minut w historii Trembowła miała w połowie XVII wieku, kiedy Polska po długotrwałych wojnach z Turcją straciła Kamieniec Podolski – jedną z największych swych twierdz. Wówczas na kilkadziesiąt lat granica południowa Rzeczypospolitej cofnęła się głęboko na Podole. Najpotężniejszą warownią, która stanęła wówczas na drodze Turków pragnących zająć Tarnopol i Lwów, była właśnie Trembowła. Turcy mówili: „Wzięliśmy Polakom Kamieniec. Jeśli weźmiemy im jeszcze Trembowłę, to cała Ruś i Podole nasze”. Wtedy to zrodziła się legenda o Zosi Chrzanowskiej – polskiej Joannie d’Arc, która heroicznie przeciwstawiła się potędze tureckiej.

Z Trembowli pochodził też Bernard Pretwicz (ok. 1500–ok. 1563), słynny pogromca Tatarów, który był w pewien sposób związany ze Śląskiem, bo przyjaźnił się z księciem brzeskim Jerzym Wspaniałym – budowniczym śląskiego Wawelu. Pretwicz był namiętnym hazardzistą, któremu sprzyjało niezwykle szczęście. W historii Śląska zapisana jest legenda, że przejeżdżając przez Niemodlin, zagrał w karty z hrabią Laryszem i w pewnym momencie stawka poszybowała tak wysoko, że zagrano o zamek. Pretwicz jak zwykle miał fart i wygrał. Wówczas zamek w Dąbrowie Niemodlińskiej, dziś własność Uniwersytetu Opolskiego, na siedemnaście lat trafił w jego ręce. Do dziś w herbie wiszącym na zamku w Dąbrowie Niemodlińskiej znajduje się szachownica.

Jerzy Beski (rocznik 1930), malarz, konserwator dzieł sztuki i mebli, dziś nestor opolskich artystów, który od 65 lat mocno wpisuje

swą biografię w dzieje Śląska Opolskiego, spędził w Trembowli 15 lat. Mieszkał przy głównej ulicy tego miasta, noszącej wówczas imię Zosi Chrzanowskiej, a później Józefa Stalina i Adolfa Hitlera (*signum tempore!*). Jego ojciec, Michał Beski (1885–1943), to piękna postać dobrze wykształconego polskiego rzemieślnika. Był wziętym krawcem. Pochodził z podtrembowelskiej wsi Warwaryńce. Po kursach w Wiedniu i Chicago, gdzie pracował kilkanaście lat (1904–1921) w znanych firmach jako mistrz kroju, wrócił do Polski z dużym doświadczeniem i kapitałem, i otworzył w Trembowli warsztat krawiecki, który zatrudniał do dziesięciu czeladników. Szyto tam głównie gotowe garnitury.

Michał Beski był powszechnie znany w Trembowli. Żonaty z krajaną, Teklą Kalińską (1890–1943), miał z nią trzech synów: Czesława, Stanisława i Jerzego. Gdy do Trembowli weszli bolszewicy, skonfiskowali warsztat, ale nie zdążyli Beskiego wywieźć na Sybir jako „polskiego burżuaja”. Za Niemców na krótko odzyskał warsztat, ale wkrótce, w 1943 roku, stracił żonę i sam zmarł po nieudanej operacji spowodowanej zapaleniem ucha. Spoczął na cmentarzu w Trembowli. W ciągu jednego roku, w 1943, Jerzy Beski, mając 13 lat, stracił rodziców. Był to potężny, ogłuszający cios. Jak dalej żyć w okrutnych czasach? Przeżył wojnę wspólnie ze starszym bratem Stanisławem.

W 1945 roku byli chłopcami – Stanisław miał lat 18, a Jerzy 15 lat – gdy z jednym tylko kufrem podróżnym opuszczali rodzinną Trembowlę. Dom ich już wówczas nie istniał, bo unicestwiła go niemiecka bomba w 1944 roku. W tym miejscu znajduje się obecnie dworzec autobusowy.

Dziś w pracowni Jerzego Beskiego na opolskiej Starówce w centralnym miejscu stoi ów drewniany kufer, z którym zmizerowani chłopcy z całym swym skromnym dobytkiem jechali transportem na zachód. Przybyli do Koźła i tam znaleźli swój nowy dom. Wkrótce Jerzy zdał małą maturę, poszedł do liceum plastycznego we

Wrocławiu i jako wyróżniający się maturzysta trafił do Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Jego talent malarski rozwijał się m.in. pod kierunkiem Zbigniewa Pronaszki. W 1954 roku osiadł na stałe w Opolu, wiążąc z tym miastem swoje życie i twórczość. Jest autorem dziesiątków obrazów, które odnosiły sukcesy na prestiżowych wystawach w galeriach polskich i zagranicznych.

W rozmowie z Jerzym Beskim najbardziej zadziwiło mnie, że ci zabiedzeni chłopcy, kompletne sieroty, jadąc w 1945 roku z jednym kufrem na zachód, włożyli do niego dokumenty rodzinne, dziś bezcennej wartości: dyplomy krawieckie ich ojca, świadectwa ukończonych kursów, dyplomy wyróżnień i podziękowań za ofiarną działalność społeczną, podpisane m.in. przez ówczesnego premiera Polski Felicjana Sławoja Składkowskiego i kilka unikatowych zdjęć rodzinnych trembowelskich fotografów.

Wspomnienia Jerzego Beskiego to przejmujący, dobrze literacko ujęty, dokument epoki. Wzrusza i zaskakuje niezwykłość pamięci autora, w której obok wizerunków najbliższych utrwaliły się obrazy ulubionych zwierząt, przedmiotów, topografia okolic. Zdarzenia tragiczne i zgoła śmieszne sąsiadują tu z sobą z całą naturalnością – jak i w samym życiu to bywa. Są w tych wspomnieniach, bardzo oszczędnych w szafowaniu przymiotnikami wartościującymi, piękne malarskie metafory. Beski opowiada o rodzinnej wsi rodziców, o Warwaryńcach, o niezwyklej karierze krawieckiej jego ojca, o niszczeniu przez okupantów Trembowli, zagładzie Żydów w tamtejszym getcie, wywózkach Polaków na Sybir i mordach banderowców na Polakach. Wspomina o tym, jak sam był nieraz na muszce ukraińskich nacjonalistów spod znaku Tryzub, którzy mają na sumieniu tysiące niewinnych ofiar, zwłaszcza na Podolu i Wołyniu. Píše też o okolicznościach, w jakich wyruszył z Trembowli wspólnie z bratem na Śląsk.

Dodatkowym walorem tych wspomnień są unikatowe ilustracje, które podobnie jak ich właściciel cudem przetrwały wojenną po-

żogę i zbombardowanie rodzinnego domu w Trembowli. Dotychczas można było je oglądać jedynie po otwarciu „repatrianckiego” kufra w pracowni Jerzego Beskiego na opolskiej Starówce.

Dziękuję, Panie Jerzy, że zdecydował się Pan opublikować te dokumenty w literackiej, nostalgicznej oprawie.

Stanisław Sławomir Nicieja,

Opole, maj 2010



Zamek w Trembowli – widok od strony rzeki



W arwaryńce. Podolska wieś obok miasteczka Strusów. Wędruję do niej dwunastokilometrową trasą tak jak dziesięć dni temu, jak kilka tygodni temu. Przemierzyłem tę odległość tam i z powrotem już wiele razy. Wychodzę z Trembowli, niedużego, powiatowego miasta. Szutrowa droga prowadzi przez rozwleczone na kilka kilometrów wioskę, potem przez zwarty las. Za lasem opuszczam gościniec i skręcam w polne drogi wiodące na skrót. Idę przez teren trochę tylko sfałdowany, prawie równinny. Przede mną przeszkoda. Potok płynący głębokim łożyskiem o stromych zboczach. Wchodzę więc na bitą drogę zwaną cesarską na cześć Franciszka Józefa. Prowadzi przez solidny, kamienny mostek nad potokiem, za którym znów skręcam na skrótowe przełaje. Cel wędrowki jest już blisko, ledwie paręset metrów. Ale żaden szczegół w niezmiennym aż po horyzont krajobrazie nie zapowiada, że zbliżam się do wioski. Wyjątkiem jest baniasta cerkiew otoczona cmentarzem. Robi wrażenie, że została wzniesiona w szczerym polu. Dopiero po przejściu kilkudziesięciu metrów otwiera się przede mną głęboki jar. Jego spadziste, czasem urwiste brzegi to się zbliżają, to oddalają od siebie na paręset metrów, na kilometr. Jar wypełniony jest zabudowaniami, ogrodami, gęstwiną drzew. Środkiem płynie spokojnym nurtem Seret. W najszerszym miejscu wsi jar rozgałęzia się. Dnem odnogi zmierza do łożyska Seretu wątła

rzeczka. Przede mną, na dole, most. Za nim nieduży plac z malutkim sklepem i nieco większym budynkiem z świetlicą. Trochę dalej jedyny dom z czerwonej cegły. To kilkuklasowa szkoła. Wioska nie jest zatłoczona. Zagrody są odległe od siebie o kilkadziesiąt i więcej metrów. Od rzeki oddzielają duże ogrody. Nie ma sadów. Owocowe drzewa bogato zdobią warzywniki, miedze, opłotki.

Zwykle nim zejść po stromiźnie, zatrzymuję się i przez chwilę cieszę się urodą tego miejsca. Dobrze znam tę wieś. Przeżyłem w niej duży kawał czasu wojny. To bardzo biedna wioska. Niemal każdy mur domów czy zabudowań gospodarskich wykonany jest z gliny ugniecionej ze słomą. Okna domów są malutkie, izby niskie i w większości zamiast podłóg mają polepy. Prawie wszystkie dachy pokryte są słomą. Spod strzech, spod drzew zacieniających domy prześwitują ostrą bielą pomalowane wapnem ściany. W miejscu, gdzie mała rzeczka łączy się z Seretem, obok nieczynnego młyna rozsiadło się gospodarstwo wujostwa. Tam urodziła się Mama w 1890 roku. Parę domów dalej urodził się Tato, pięć lat wcześniej. Długo pozostawali w narzeczeństwie i czekali na siebie. Tuż przed pierwszą wojną światową pobrali się. Podczas trwania wojny Mama urodziła pierwszego z nas czterech braci. Zmarł niedługo po urodzeniu. W 1922 roku przyszedł na świat Cesiek, potem w 1927 Staszek i w grudniu 1929 ja – Jurek. Wczesne dzieciństwo mieliśmy pogodne i piękne. Mieszkaliśmy w powiatowym mieście w dużym domu na obszernej posesji z ogrodem, sadem, zabudowaniami gospodarskimi. Do wybuchu drugiej wojny światowej zawsze mieszkała z nami służąca.

Opowiadam o swoim dzieciństwie i nikogo nie powinno to dziwić, że do składu rodziny dopisuję jeszcze trzy psy o imionach As, Dżok, Dobosz, chmurkę gołębi, kury, gęsi, perliczki, krowę, świnię Kućkę i Ciućkę oraz dwie kozy – moje wojenne podopieczne.

1937

Zacząłem wreszcie chodzić do szkoły. Czułem się w niej dobrze, nie miałem trudności. Smakowało mi nawet mleko rozdawane na dużych przerwach, mimo że często bywało przypalone. Polubiłem też codzienny obowiązek uczniowski. Grudzień był chyba najpiękniejszym miesiącem roku, bo były święta i sanki. Na świętego Mikołaja obudziliśmy się (spałem w jednym łóżku ze Staszkiem) w bardzo niewygodnych pozycjach. Poduszki stały dęba od włożonych pod nie prezentów. Najładniejszym podarunkiem były mocne, zimowe buciki „bechsteigery”. Staszek za to, że jest wzorowym uczniem, dostał eleganckie wieczne pióro ze złotą stalówką. Przed świętami znajomy leśniczy przywiózł ogromną choinkę. Jak zwykle postawiona została w kącie dużego pokoju i udekorowana między innymi łańcuchami naszej roboty. Obok bombek bardzo pięknie prezentowały się niezwykle wisiory z kolorowych koralików, które z pasją wykonywał nasz lokator pan Domanow. Te cacka wyszły z rąk człowieka popędliwego, nerwowego, awanturującego się o byle co. Jego syn, nasz rówieśnik Lesio, niewzruszony flegmatyk, zwykle śmiesznie to komentował, na przykład: „Dziś tato znów sobie pokrzyczał”.

Choinka niestety kilka razy leżała na podłodze, bo albo ja, albo Staszek kradnąc z niej cukierki w pośpiechu, zbyt gwałtownie szarpaliśmy gałązki. Wiele razy byliśmy ze Staszkiem na saneczko-

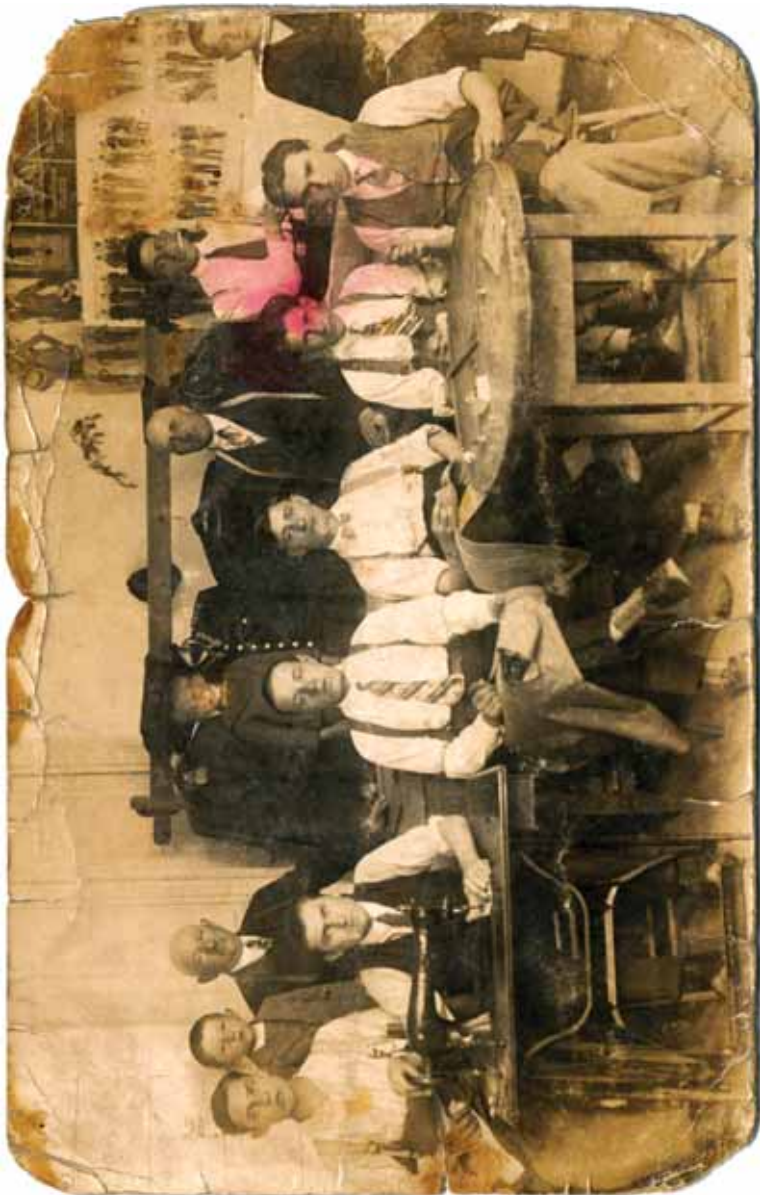
waniu. Zjeżdżaliśmy na świetnych, nowych sankach z rampy, z Wolicy, a raz, gdy było pogodnie i mroźno, z Plebanówki. Kiedyś, gdy bardzo zmarznięty wróciłem z sanek, zastałem stryjka Lonka, sierżanta w naszym Dziewiątym Pułku Ułanów. Ponieważ wszedł do domu tuż przede mną, kazał mi trzymać w rękach swoją jeszcze bardzo zimną szablę. Takie powolne rozmrażanie rąk mniej boli. Stałem więc blisko stryjka, którego bardzo lubiłem i wdychałem niezwykle silną woń jego eleganckiego munduru. Był to dziwny zapach jakby stajni, końskiego potu, garbowanej skóry i uprzęży.



Zamek w Trembowli – widok z Pokrówki



Tato – zdjęcie zrobione w USA



Zaloga pracowni ubrań gotowych